



Fot. CAF

## Ryszarda Hanin

— Jak by Pani podsumowała swój miniony sezon teatralny?

— Trudno powiedzieć, żeby były w nim jakieś szczególne wydarzenia choć miałam parciekawy prac. Do takich zaliczyłabym na pewno współpracę z Jarockim przy „Ślubie” Gombrowicza. Lubię z

nim pracować, Jarocki zmusza aktora do myślenia, eksperymentowania, do samodzielnego poszukiwania rozwiązań. Jeżeli chodzi o telewizję czy film, to nie miałam zbyt interesujących propozycji, ale trudno przecież stale wymagać samych wielkich ról. Czasem nawet konieczne są, nazwijmy to, wprawki aktorskie, po to, aby kiedy przychodzi ta oczekiwana rola — włożyć w pracę nad nią maksimum zapału i entuzjazmu.

Osobistą satysfakcję odczułam na pewno po premierze „Irkuckiej historii”, którą przygotowałam ze studentami szkoły teatralnej.

— W szkole teatralnej, mimo licznych zajęć zawodowych, pracuje Pani od wielu lat...

— Zaczęło się od tego, że Jan Kreczmar wziął mnie na swoją asystentkę i nauczył pracować ze studentami. Zresztą wbrew moim początkowym wewnętrznym oporom, bo nigdy nie myślałam, że się nadam do pracy pedagogicznej. Jest w tym jeszcze element egoizmu. Nam, aktorom „uczącym”, ta praca pozwala „ocalić od zapomnienia ślad na naszych drogach”. Tak, bo cóż pozostaje po nas, aktorach?

— Role zapisane na taśmie...

— Ale one są w zapisie martwe. Nawet filmowane archiwalnie sztuki są sztukami martwymi. To samo często dotyczy ról filmowych. A każdy przecież tęskni do tego, aby coś po sobie pozostawić. Tę możliwość daje praca pedagogiczna — pozostawienie w następnym pokoleniu jakiegoś własnego przekazu, wskazówek. Poza tym ucząc innych, uczę się sama. Pracujemy seminaryjnie, zastanawiamy się wspólnie nad różnymi problemami i uczę się od młodzieży jej spojrzenia na różne sprawy. Nawet jeżeli robimy sztukę, w której kiedyś grałam, to nie narzucam im swojej interpretacji, ale przyjmuję ich propozycje i obserwuję, ile każda postać, każda rola ma wariantów.

— A jest stare przekleństwo „obyś cudze dzieci uczył”...

— I nie bez kozery. Praca w szkole przynosi satysfakcję, ale ma też i swoje koszmary. Bo jest w młodzieży jakaś bierność: „Jestem i ucz mnie”. Moje pokolenie „Kolumbów”, któremu lata przeznaczone na naukę zabrała wojna, z pasją nadrabiało braki. Mieliśmy świadomość tego, że inaczej pójdziemy po prostu na boczny tor. A oni wiedzą, że wszystko jest dla nich. Rzeczywiście bardzo starają się, żeby dostać się do szkoły, ale kiedy już się tam znajdują, dziwnie spada ich aktywność. Wychodzą z założenia, że reszta jest w naszych rękach, a przecież my możemy tylko ich „nauczyć się uczyć”, pomóc, ale pracować muszą sami. Jeżeli będziemy im bezustannie matkować w szkole, co będzie potem? Jak dadzą sobie radę w zawodzie, który często bywa bezwzględny?

— Wracając do Pani działalności zawodowej. Ma Pani w swoim dorobku wiele ról matek.

— Często pytają mnie, czy to szczególna predyspozycja. Oczywiście nie. Po prostu w pewnym wieku gra się matki. Zresztą ja dosyć wcześniej zaczęłam „matkować”, zwłaszcza w telewizji.

— Recenzenci podkreślają zawsze ciepło emanujące z tworzonych przez Panią postaci.

— Jeżeli się gra matkę, to szuka się jakiejś kondensacji artystycznej tych najlepszych cech kobiety. Ale — może to zabrzmie megalomańsko — wydaje mi się, że gdybym miała zagrać kobietę okrutną, bezwzględną, bardzo różną od tego, co najczęściej mi proponują — to też chyba potrafiłabym przekonać widza o prawdzie tej postaci. A może nie? Chciałabym się zmierzyć z zupełnie innym materiałem, ale obawiam się, że już zostanę etatową matką.

Rozmawiała: ANNA BORKOWSKA